Nr. 9 We Lwowie, 1 maja 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

PANOM DELEGATOM przypominamy zebranie w dniu 9 maja b. r. o godzinie 10-tej rano w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. — Tuszymy, że ze względu na doniosłość omówić się mających spraw, Panowie Delegaci jawią się jak najliczniej.

Prezydjum Wydziału
Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

SEWERYN KROGULSKI

Pół wieku!

(Ciąg dalszy)

Skończywszy przemówienie wstępne, wygłosił Prezes wielką mowę, którą jasno i zwarcie objął całokształt dziejów ubiegłego 50-lecia naszego Towarzystwa i znakomicie nią zobrazował owocną działalność tegoż na polu polskiego łowiectwa, w każdej jego dziedzinie.

Mowa ta jest, szczerze rzec można, najsubtelniejszym wyciągiem najistotniejszej treści rzeczy, zapisanych w rocznikach „Łowca" 1878—1926.

Właściwie należałoby ją sfilmować tu w oryginale z lipcowego zeszytu „Łowca" 1926 r., choćby dla przytoczenia wzoru sztuki syntetycznego ujmowania olbrzymiego materjału tak zwięźle, jak to uskutecznił mówca. Z racji atoli, że historja epoki omówionej przez Prezesa w zarysach najgłówniejszych, przedstawiona jest w pracy niniejszej najdokładniej szczegółowo, a przeważnie ze względu na ograniczenie ram tej pracy — można z mowy tej wziąć tu pod steoretypowy skrótów strychulec jedynie fragmenty główniejsze; pragnących zaś poznać jej całą zajmującą osnowę — według stenogramu — skierować do wyżej wskazanego źródła.*)

A więc: Prezes, omówiwszy genezę naszego Towarzystwa, wyłuszczywszy pośrednie i bezpośrednie przyczyny, które przed p ó ł w i e k i e m poprzedziły i spowodowały jego powstanie, wyraża cześć oraz wdzięczność najgłębszą mężom, w dziele tem zasłużonym, a przedewszystkiem Włodzimierzowi hr. Dzieduszyckiemu, twórcy tej instytucji, w którego głowie i w sercu — jako przyrodnika i myśliwca — zrodziła się ta myśl doniosła, a z niej wyłonił się wielki czyn.

Fundatora Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie, grono najwybitniejszych myśliwych hodowców obdarza godnością prezesa, a Oswalda Bartmańskiego wiceprezesa „Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie".

Pod ich dzielnem przewodnictwem poczyna się wytężona praca ideowa na zniszczonym przez zaborcę zagonie łowieckim naszego kraju. Pracę tę utrudnia zrazu brak własnego organu propagandowego, któryby budził do czynu członków Towarzystwa. Gdy więc w r. 1778

*) Rocznik 1926, można nabyć w Administracji „Łowca".

rolę tę podjęło wydawnictwo „Łowca", jako organ Towarzystwa, pod redakcją Józefa Łozińskiego, zaczęła się walka o dobro łowieckie z macoszym rządem i z nastrojami myślistwu przeciwnymi, idące ze sfer ludowców w Sejmie, wreszcie, niestety z apatją oraz biernym uporem zaśniedziałego w niewoli szerszego ogółu myśliwskiego.

W sześć lat później hr. Dzieduszycki składa urząd prezesa, buławę zaś po nim obejmuje Roman hr. Potocki i dzierży ją chlubnie pełnych lat dwadzieścia!

Postęp na całej linji dziedziny łowieckiej zaznacza się wybitnie. Ujawniły to później dwa pawilony*) na Wystawie krajowej, odbytej we Lwowie, w r. 1894, obznajamiając naocznie społeczność, z kulturalną wartością łowiectwa i z trofeami zdobytemi u nas przez myśliwych polskich.

Po wystawie wszakże nastąpił znów przypływ fali obojętności i zastoju. Interesowanie się sprawami łowiectwa w szerokich kołach myśliwskich spada do zera. — Wpłacanie wkładek zanika do tego stopnia, że rachunki w 1895 i 1896 r. znacznym zamyka się niedoborem, pokrywanym ofiarami trzech członków Wydziału i prezesa.

Dalszy byt Towarzystwa silnie zagrożony. — Walne Zgromadzenie w r. 1897 odbyło się w obecności 17-tu członków. Wrażenie ponure, istne podzwonne, grożące zapowiedzią likwidacji Towarzystwa, i to w przededniu lego 20-lecia.

Ale nasz dobry Patron, św. Hubert, przez usta jednego ze swych wybrańców, powiedział: Nie!...

I stało się według Jego mocarnej woli i łaski.

Bo oto w momencie najkrytyczniejszym, zabrał głos mąż dzielny, ordynat Tadeusz Czarkowski-Golejewski i woła: „Wstydem byłoby, gdyby upadła ta jedyna w kraju instytucja i jedyne w Polsce pismo łowieckie"!... Poczem kreśli plan przeistoczenia Towarzystwa**), który przyjęto oklaskami i przez powstanie z miejsc wyrażono zbawcy gorące podziękowanie, a poza tem, przez aklamację, wybrano go wiceprezesem Towarzystwa.

„Czuję się szczęśliwym — oświadcza przewodniczący Jubileuszowego Zgromadzenia — że mogę w dniu dzisiejszym imieniem Łowiectwa Małopolskiego, co więcej, w imieniu Łowiectwa całej Polski, złożyć temu Mężowi uroczyste podziękowanie. — Zwyciężył"! (Oklaski).

W tym czasie powstała katedra łowiecka przy Szkole lasowej we Lwowie, która w znacznej mierze przyczyniła się do wychowania leśników-myśliwych.

W latach 1889 i 1890 wielkie straty poniosło Towarzystwo przez śmierci Kazimierza hr. Wodzickiego i Artura hr. Potockiego. Ich duszy myśliwskiej, później zaś Andrzejowi hr. Potockiemu, zawdzięczamy wznowienie łowów na królewskiego zwierza w Karpatach naszych. Pierwszy z nichbył twórcą sławnego Towarzystwa Lisowickiego, drugi i trzeci dzierżawili olbrzymie łowiska karpackie w dobrach „kameralnych". Wielką poza tem zasługą Andrzeja Potockiego było to, że jako namiestnik kraju, przepotężnym wpływem swoim, potrafił w rządzie wiedeńskim uzyskać dla naszych myśliwych wysokogórskich, łatwiejszy przystęp ofertowy do tych łowisk, rezerwowanych w tych czasach przeważnie dla sypiących złotem zagranicznych łowców - obieżysasów, t. zw. „globtroterów", tudzież dla arcyksiążąt i potentatów austrjackich.

Temi zasługami, mężowie ci sami sobie pomnik wdzięczności naszej trwale zbudowali.

Literatura myśliwska traci utalentowanego pisarza, zmarł bowiem w onej dobie Aleksander Ubysz (Gawin), który swem czarodziejskiem piórem wprost pozywające czytelników „Łowca", kreślił obrazy.

W roku 1898 Walne Zgromadzenie mianowało Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego członkiem honorowym założonego przezeń Towarzystwa.

Organ nasz, miesięcznik „Łowiec", przeistacza się w r. 1899 w dwutygodnik, co umożliwia pożądaną częstszą styczność Wydziału z członkami.

Wniosek posła żardeckiego w Sejmie, w kwestji zmiany ustawy łowieckiej, był tak radykalny, że w krótkim przeciągu czasu byłby podciął najzupełniej byt łowiectwa. Towarzystwo wnosi sprzeciw, a poseł Jędrzejowicz uzyskuje cofnięcie tego potwornego projektu.

Ze stanowiska sekretarza Towarzystwa ustępuje jego wybitny działacz dr. Miziewicz, a jego następcą zostaje S. Krogulski.

Następne lata 1900—1902 upływają w pracy gorliwej według wytycznej reformatora, Czarkowskiego-Golejewskiego. Wyniki jej zdumiewające! Na VI-tym Zjeździe łowieckim, dnia 30 czerwca 1902, sprawozdanie Wydziału wykazało stan członków w liczbie 1.100-tu i zapas kasowy w kwocie 1.274 zł. w. a. Lecz w dniu tym także i ci, pod których przewodnictwem odrodzenia Towarzystwa dokonano, mianowicie prezes Roman hr. Potocki i wiceprezes Tadeusz Czarkowski, sądząc, że swoją powinność już spełnili, składają swe dzielnie piastowane mandaty. Wyrazem uznania zasług, było zamianowanie obu członkami honorowymi.

Następcami ich wybrano: prezesem Stanisława hr. Stadnickiego, a wiceprezesami A. J. hr. Bielskiego i S. Krogulskiego.

W tym samym roku zostaje namiestnikiem wielki myśliwy Andrzej hr. Potocki. Czasu energicznych rządów jego, łowiectwo nasze rozwijało się w tempie niesłychanie pośpiesznem.

Redakcję „Łowca" w r. 1903, obejmuje po dr. Miziewiczu A. Mniszek.

W tym okresie założono Klub hodowli i tresury psów myśliwskich, i już jesienią 1905 r. na popisach w Przeworsku, zdobyto w tej imprezie dodatnie wyniki.

Lata następne 1906—1909 poświęcono usilnej pracy w kierunku postępowego rozwoju łowiectwa i wywalczaniu u władz korzystnych dlań postanowień prawnych.

*) Łańcucki prezesa hr. Potockiego, drugi zaś zbiorowy urządzony przez Wł. Spaustę i Tow. myśl. im. św. Huberta we Lwowie.

**) Szczegóły akcji ratunkowej zawiera praca niniejsza.

Szczytowym punktem skutecznej działalności Towarzystwa i jego komitetu, było przygotowanie do obesłania trofeami naszych łowców „Myśliwskiej wystawy międzynarodowej w Wiedniu 1910 roku", poczem urządzenie galerji tych okazów na miejscu wystawy.

Pracę Wydziału, kontynuowaną w latach 1911 aż do wybuchu wojny w r. 1914 trybem lat poprzednich — przerywa inwazja rosyjska.

„A jednak — podkreśla mówca — placówka Tow. Łow. wytrwała, głównie dzięki energji obecnego tu weterana Seweryna Krogulskiego, który niepomny niebezpieczeństwa..., posterunku nie opuścił... i „Łowca" wydawał raz na miesiąc (oklaski). Dziękuję Panom, że przez aklamację objawiliście wyraz wdzięczności, którą z tego miejsca do niego skierowuję". (Przykład dla wszystkich, że nie zawsze społeczność wynagradza zasługi jedynie, jak twierdzą, niewdzięcznością).

W styczniu 1915 r. poniosło Towarzystwo wielką stratę, zmarł bowiem w Wiedniu prezes hr. Stanisław Stadnicki.

Czasu wojny walczy Towarzystwo, aby się nie dać zmieść jej burzą, wszelkiemi sposobami. Istnieje kredytem, bo wkładki nie wpływają i ściąga się je przygodnie; najgorliwiej czyni to krakowski delegat Jul. Ćwierzewicz, a poza tem wspiera nas grono mężów życzliwych. I trwamy tak niewzruszenie do 1-go listopada 1918.

Napad Rusinów na Lwów, uniemożliwia wydawnictwo „Łowca". Po przerwie jednak dwuletniej wznowiono go, i z tej racji Towarzystwo poczyna pracować już intenzywniej.

Na Zjeździe w 1920 nastąpił wybór prezydjum. Prezesem został J. hr. Bielski, wiceprezesami Cyryl Czarkowski-Golejewski i Albert Mniszek.

W roku 1921 uczestniczyli w Zjeździe prof. Domaniewski i przedstawiciel Min. roln. Juljan Ejsmond, radośnie przez prezesa powitani. Pierwszy z nich wnosi, żeby się starać o jednolitą ust. łow. dla całej Polski i dążyć do zcentralizowania wszystkich Towarzystw w jeden Związek myśliwski. Zrealizowanie rezolucji końcowej nastąpiło 9 lipca 1923 r., dnia tego bowiem dokonano ukonstytuowania Centr. Związ. Stow. Łow. w Warszawie. Za jego pośrednictwem, starania nasze dotyczące uczestniczenia myśliwych polskich w zawodach strzeleckich na Olimpjadach, pożądany odniosły skutek.

Tą samą drogą także zabiegi nasze, czynione w kierunku usuwania z pod uchwał w sejmie niebezpiecznych projektów dla łowiectwa, jak również w kwestji podatku od polowania, C. Z. P. S Ł. załatwił korzystnie.

Z przykrością porusza też mówca powód (zamknięcie polowania na zające i kuropatwy w pow. krakowskim), który skłonił kółko myśliwskie polujące na części tych terenów, do utworzenia związku pod nazwą „Towarzystwo łowieckie zachodniej Małopolski". Myśl ta mieści w sobie zarzewie rozdwojenia. Dotychczasowe pertraktacje nasze w tej sprawie z delegatami tego związku, nie przyniosły pożądanego wyniku. Jest jednak nadzieja, że z jen. Stillerem, który na obrady nie przybył z racji, iż z M. T. Ł. wystąpił — na konkursach atoli będzie — uda się uzgodnić poglądy rozbieżne, ku obopólnemu zadowoleniu.

„Korzystam z tej sposobności — słowa mowcy — żeby stwierdzić fakt, iż całe Towarzystwo w ciągu okresu 50-letniego istnienia, dawało zawsze przykład solidarności i zgody; zwłaszcza do tej ostatniej jak najgoręcej nawołuję, gdyż wśród tego partyjnictwa, które ogarnęło społeczeństwo całe, niech właśnie łowiectwo będzie oazą, w której spory w parlamentarny sposób na właściwem miejscu mogą i mają być rozpatrywane, do tego Was nawołuję, o to Was, Panowie, proszę! (Oklaski).

Kończy Prezes swą mowę podziękowaniem wszystkim uczestnikom Zjazdu, wojewodzie Garapichowi za opiekowanie się łowiectwem, wreszcie Towarzystwu Gospodarczemu za pozwolenie odbycia w jego sali dzisiejszych obrad. (Długotrwałe oklaski).

* * *

C. d. n.



JERZY POTOCKI

W górach Karory — luty 1929

Benedyktowi Tyszkiewiczowi na pamiątkę tylu wspólnych przeżyć myśliwskich notatkę tę poświęcam.

1. Polowanie na koziorożce (Capra nubiana)

Wzdłuż Morza Czerwonego, wybrzeżem afrykańskiem rozciąga się szerokie pasmo gór o wyglądzie ponurym i mało gościnnym. Wzgórza te przypominają dziwacznemi kształtami lodowce o grubych nasadach i zębatych wierzchołkach. Ku południowej granicy angielskiego Sudanu i dalej poprzez włoską Eritreę ku Abissynji, nabiera to pasmo górskie masywną formę olbrzymich bloków skalnych, poprzecinanych głębokiemi łożyskami rzek. Łożyska te, zwane „khor" w narzeczu arabskiem, ściągają ogromne ilości wód deszczowych w czasie letnich nawalnic, a w porze zimowej, a zatem suchej, stanowią możliwe do przebycia drogi dla karawan wielbłądzich. Takim łańcuchem skalnym są właśnie wzgórza Karory w angielskim Sudanie, graniczące z jednej stro-

ny z Eritreą i Morzem Czerwonem, z drugiej zaś ginące we wielkich równinach dopływowych Niebieskiego Nilu. Wysokie szczyty, dochodzące do 3.000 m, o szczupłej wegetacji, są ostoją koziorożca (capra nubiana), a duży płaskozwyż ku granicy Eritrei porosły trawą i bujnym krzewem obfituje w jedną z najrzadszych i najpiękniejszych antylop afrykańskich, zwanych Kudu (Strepticeros Kudu).



Dublet z Idrisem na lewo

Pierwszą część trzytygodniowej wyprawy poświęciłem koziorożcom, a mając pozwolenie na zabicie czterech sztuk, wolałem czas dłuższy oddać się hazardowemu polowaniu po rozpadlinach górskich, by potem zakończyć polowanie łatwiejszym podchodem za antylopami Kudu. Punktem wyjścia naszej wyprawy, którą odbyłem w towarzystwie Anglika p. W. był Port Sudan, dziś poważne miasto portowe nad Morzem Czerwonem, będące kluczem dla Anglji w eksporcie naturalnych bogactw Sudanu, w szczególności zaś bawełny. Po załatwieniu formalności u władz miejscowych, oraz zasiągnąwszy odpowiednich informacji, puściliśmy się w drogę dnia 16 lutego rankiem trzema automobilami, naładowanemi po brzegi prowiantem i bagażem. Mieliśmy tego dnia do przebycia około 200 km, by wieczorem stanąć na pierwszym noclegu, gdzie oczekiwać nas mieli przewodnicy, oraz tabor wielbłądzi. Droga piaszczysta, pełna wyboi, prowadzi początkowo w bliskiem oddaleniu od morza przez urocze miasteczko arabskie Suakin, a następnie przez szczerą pustynię, gdzie tylko dawny ślad kół samochodowych znaczy drogę fatalną i karkołomną.

Mimo tych perepetyj i w ciągłej obawie o poważniejszy szwank w naszych motorach i podwoziach, stanęliśmy wieczorem w malowniczem miejscu, zwanem Gadrineit, u stóp wzgórz, witani przez dwóch przewodników, oraz przez zastęp naszych jucznych wielbłądów w ilości 24 sztuk wraz z dwoma osiołkami pod wierzch. Pierwsza noc przespana pod namiotami w dusznej atmosferze afrykańskiej nocy czyni zawsze wrażenie tajemnicze i strasznie odległe, a dziwne odgłosy dolatujące z dżungli napełniają umysł ciekawością i chęcią powodzenia.

O wschodzie słońca następnego dnia ruszyliśmy biblijną karawaną wzdłuż szerokiej doliny, okolonej lekkimi pagórkami, odesławszy wpierw samochody z powrotem do Port Sudanu. Po czterech dniach uciążliwego marszu, często przez bezwodne okolice i w niemiłosiernym skwarze słońca, dostaliśmy się w okolicę zamieszkałą przez koziorożce. Aspekt kraju zmienił się zupełnie. Ogromne ponure skalne góry sterczały zewsząd, poryte głębokiemi bruzdami rozpadlin przepastnych, czyniąc wrażenie posępne, jakby z opery Wagnera. Na samych szczytach widniała miejscami nikła trawka, lub coś w rodzaju krzewów zielonych, zresztą panowały tylko olbrzymie bloki skalne, znaczone smugami letnich potopowych deszczów. Noclegi wypadały wśród kamienistych rzek, w pobliżu wodnych źródlisk, w osobliwem otoczeniu mistycznego krajobrazu, który nie był pozbawiony uroku. Tylko na najwyższych szczytach często przysłoniętych chmurami, przebywały według słów naszego przewodnika koziorożce w dużych ilościach, a zatem dostęp do nich wydał mi się równie trudny, jak niebezpieczny, szczególnie, że do turystyki nie jestem zbytnio wprawiony. Na szczęście jednak pochód okazał się niemożliwym z powodu braku jakiegokolwiek schronienia przed zmysłami tak czujnego zwierza, jakim jest koziorożec. Przewodnik nasz nazwiskiem Mohamed Ali wybrał zatem drugi sposób polowania, posługując się tubylczym szczepem górskich Arabów, celem przeprowadzenia regularnej nagonki. Nie przypuszczałem nigdy, aby podobne pędzenia mogły dać pożądany rezultat, wkrótce jednak przekonałem się, że dzięki niesłychanemu instynktowi tych półdzikich ludzi, miot taki odbywa się bez pudła.

Pierwsze dwa dni polowania w masywie górskim, zwanym Szarag, nie dały odpowiedniego rezultatu poprostu dla braku zwierza. Zapoznać się mogłem jednak z terenem, spinając się po skalistych turniach z niemałą dozą wysiłku i zawrotu głowy, oraz przypatrując się zadziwiającej gimnastyce dzikich arabów w pokonywaniu trudnego terenu. Dopiero gdy po drugim dniu zjawił się w naszym obozie wspaniały arab nazwiskiem Idris, polowanie wzięło zupełnie inny obrót. Idris był poprostu fascynujący. Sam szczupły i gibki, miał oczy sokole i in-

stynkt myśliwski wrodzony, a w sposobie wspinania się nad przepaściami równał się chyba tylko koziorożcom. On też odrazu zadyrygował całą nagonką, sadzał mię na stanowisku i rzutem kamienia pokazywał, którędy zwierz pójdzie. Trzeci dzień polowania pod znakiem Idrisa dał mi odrazu pierwsze piękne trofeum. Po godzinnem drapaniu się w rannym chłodzie świtania, posadził mię Idris na przełęczy między dwoma głębokiemi zworami, sam zaś ruchem kocim popędził susami na prostopadłą niemal skałę, by rozstawić ludzi z nagonki. Przedemną amfiteatralnem kołem roztwierał się wachlarz gór, z poza których wkrótce strzeliło słońce, blaskiem swym oświetlając cudny pejzaż, srogi w swej brutalnej martwocie. Daleko odemnie poniżej ledwie dostrzegalny siedział nego mieszkańca gór. Przez czas dłuższy nie mogłem odszukać ani wzrokiem, ani lornetką nikłą sylwetkę zwierza, dopóki lekkim kłusem posuwać się nie zaczął wzdłuż przeciwległej przepaści. Poraz pierwszy zobaczyłem płowy kolor sierści, harmonizujący zupełnie z szarem otoczeniem skał, oraz pięknie osadzoną głowę z bródką i w tył zarzucone imponujące rogi. Koziorożec jednak nie przybliżał się do mnie, lecz lonżował w odległości około 400 kroków na dalekiej przełęczy, toteż podsycany namowami arabów, strzeliłem do niego raz i drugi bez najmniejszego rezultatu. Zwierz uszedł i strapiony byłem bardzo, gdy wtem wrzaskliwe głosy z nagonki doniosły, że drugi koziorożec, który się skrył był w wyłomie skalnym, posuwał się ku mnie. Tym razem miałem



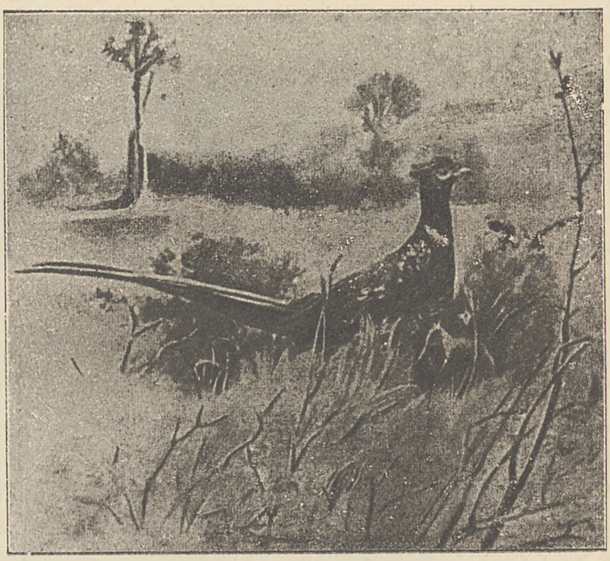
Ostatni koziorożec zabity przez Jerzego Potockiego w masywie górskim Gaden

na innem stanowisku mój towarzysz p. W. Miałem obok siebie Mohamed Aliego, oraz jeszcze jednego czarnego draba, który mi niósł nieodzowne przybory myśliwskie. Po godzinnem czekaniu w rannej światłości wschodzącego dnia ożywiły się raptem szczyty górskie rozgłośnym wrzaskiem naszych naganiaczy. Na samych cyplach skał ukazali się, jak widma, pół nagie postacie, krzykiem i rzucaniem kamieni pędząc wystraszoną zwierzynę. Ledwie dostrzegalni przez lornetkę, wyglądali jak sępy w swej okrutnej dzikości, a śmiałe skoki nad urwiskami, ścinały krew w żyłach. Był to dopiero początek polowania, gdyż koziorożec pędzony stara się ujść z obławy, dążąc ku najwyższym szczytom; zatem jeśli naciera na jedną flankę, druga milczy i ukrywa się poza skałami na najwyższych przesmykach górskich. Dopiero, gdy zwierz widzi, że drogę ma odciętą, niechętnie uchodzi wzdłuż skał, dążąc ku nizinie. Z niemałą emocją oczekiwałem rozwikłania się wypadków. Raptem uczułem za sobą pełzające postacie Mohamed Aliego i drugiego araba, którzy potrząsając mną z całych sił, ze wzrokiem wbitym gdzieś daleko, pokazywali mi mistyczstrzał bliższy lecz arcyniewygodny, bo z góry niemal w prostopadłą przepaść do biegnącego zwierza, lecz kula moja okazała się trafną i wnet tryumfalny chór zagrzmiał z kilkunastu gardzieli potem ociekających dzikusów. Dopiero zeszedłszy w dolinę ze stanowiska, mogłem oglądać moją zdobycz i podziwiać grube karbowane rogi, sięgające do połowy grzbietu, szlachetną głowę z charakterystyczną bródką i małe zgrabne kopytka. Byłem bardzo zadowolony i radość swą okazywałem Idrisowi, który w międzyczasie zdążył dwa razy zbiec z wysokości tysiąca metrów, lecz tylko lekkie drgania warg i błysk białych zębów mogły wykazać na jego surowej twarzy pewną dozę ukontentowania. Ze śpiewem i w tryumfie, zanieśli nasi ludzie zabitego zwierza do obozu.

Na drugi dzień ze świtem poprowadził nas Idris w zupełnie innym kierunku, wprost na olbrzymie zwalisko górskie, przypominające zrujnowaną fortecę. Znowu nastąpiły dla mnie ciężkie chwile turystyki, póki nie zasiadłem na znakomitem stanowisku. Przedemną miałem przepaść i skałę o zębatym wierzchołku, a powyżej mo-

głem patrzeć dość daleko na szereg kamienistych zagłębień, na który cmoknięciem i błyskiem oczu pokazał Idris. Siedziałem dość długo czekając, aż usłyszałem znajome hukania i szereg strzałów p. W., z którym rozstałem się jeszcze rankiem, gdyż drugi przewodnik zaprowadził go w głąb jakiegoś zworu na lewo oddaloną flankiem. Sądziłem, że wszystko skończone i nic się nie ukaże, gdy tymczasem po niespełna kwadransie dziki wrzask tańcującego na skale golasa oznajmił mi, że coś się ku mnie posuwa. Rzeczywiście zobaczyłem biegnące kłusem przez kamieniste zagłębienia, na które wskazał Idris, dwa wspaniałe capy z rogami dumnie zarzuconemi, zdążające w moją stronę. Przygotowałem się do strzału, gdy zginęły mi z oczu i za chwilę usłyszałem lekki tupot kopyt i pierwszy koziorożec ukazał mi się w pełnem świetle słońca wprost na sztych na przeciwległej zębatej skale. Strzał z prawej lufy powalił go na miejscu i z trzaskiem runął w przepaść, a w chwili, gdy strzeliłem, w tem samem miejscu ukazał mi się drugi i ten z lewej lufy śmiertelnie ugodzony, toczył się obok towarzysza. Nie czekając na wycia i uściski arabów, sam wzniosłem okrzyk tryumfu, bo dublet był nadzwyczaj udany, a potężny urok tego nadzwyczajnego epizodu myśliwskiego ogarnął mój umysł niewysłowionem uczuciem radości. Z niemałą trudnością windowali arabowie oba ubite okazy z przepastnej głębi, gdzie leżały na szczęście nieuszkodzone, ku memu stanowisku i niebawem z lubością zachwycać się mogłem piękną i w tak idealnych warunkach osiągniętą zdobyczą. Były to dwa w pełni wyrośnięte samce, o rogach dochodzących do 1 metra długości i o płowym kolorze sierści, świetnie przystosowanym do kolorytu skał. Zanim jeszcze zeszedłem w dolinę, donieśli mi gońce, że mój towarzysz p. W. zabił też dwie sztuki, mieliśmy zatem na rozkładzie jednego dnia, zabite 4 koziorożce, a w sumie pięć. Miałem zezwolenie na odstrzał jeszcze jednego samca, którego zabiłem w drodze powrotnej w równie emocjonujących okolicznościach w masywie górskiem zwanem Gadem. Teraz jednak pożegnaliśmy nasze górskie przełęcze, zwinęliśmy obóz i 4-dniowym długim marszem ruszyliśmy ku uśmiechniętym zielonym wyżynom, gdzie znajdowało się sanctuarjum wspaniałej antylopy Kudu.

C. d. n.



Najpiękniejsze w poleskiej kniei dublety

Wspomnienia z niedalekiej przeszłości

napisał Poleszuk

Łuniniecka puszcza — cel ich myśliwskiej wyprawy, szemrała tymczasem swój wieczorny pacierz, a z dzikich jej ostępów wychodził na nocne polowanie zwierz drapieżny.

Na wysrebrzoną jasną poświatą księżyca leśną polanę wyszła bezszelestnym, skradającym się chodem para rysi i stanęła w cieniu, łowiąc ostro zakończonemi małemi uszkami poszum puszczy. Jak na komendę przywarowały nagle oba, kryjąc się w niewysokiej trawie i zlewając się swoją szaro-burą maścią z tłem otoczenia.

Po paru minutach, o kilkadziesiąt kroków dalej wychynęło nagle, jak duch leśny, stare, siwe wilczysko i złapawszy czujnem uchem jakiś obcy dźwięk daleki, również przyległo, jak wąż wyciągnięty na ziemi.

Podejrzane niepokojące zwierza szmery przeszły w coraz wyraźniejszy trzask łamanych gałęzi i naraz przez rozświetloną księżycem i wysrebrzoną perłami rosy polanę przebiegło groźne fuknięcie dzika, a za niem wypadł potężny odyniec; na mgnienie zatrzymał się na skraju polany i jeszcze raz potężnie fuknąwszy, w ogromnych susach przesadził całą jej długość i załamał dalej po gęstych haszczach jej wschodniej strony.

Zaczajone rysie i wilk ani drgnęły na ten widok, ale dzik znikł w zaroślach, uniosły się nieco na łapach i prawie czołgające się brzuchami po ziemi zawróciły z powrotem w obrzeżającą polanę gęstwinę leśną.

Po kilku minutach mignął białemi szczudłami, przecinając ostrym spłoszonym kłusem brzeg halizn,y łośłopaciarz, a za nim przeciągnęła, kiwając się jak okręt po morzu, niezgrabna klempa — łosza, z plączącem się między jej nogami małem łoszątkiem.

Jakieś dziwne dziwy działy się w puszczy: zwierz wszelaki zapominając o życiodajnem wzajemnem na siebie polowaniu, pomykał strwożony w jedną stronę, kierując się z zachodu ku wschodowi.

Dłuższa cisza zaległa znowu puszczę. Nie przerwał jej też i lis, przeszywający żółtą smugą tę, dziwnie tej nocy ożywioną, a zwykle martwą ustroń leśną.

Wreszcie, po dłuższej przerwie zachrupały znowu od jakiegoś ostrożnego stąpania suche gałązki i na zacienionym skraju polany ukazał się człowiek.

Ostrożnie rozejrzał się po haliźnie i jakby nie zdecydowany w którą ma iść stronę, zrobił kilka kroków ku środkowi i znalazł się w kręgu księżycowego światła, które zamigotało na lufie długiego rosyjskiego karabi-

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie

Ciąg dalszy

Z kolei przystępuję do zwierzyńców w Krakowie w nowszych czasach.

Pierwszą najprawdopodobniej próbę w tym kierunku zrobił w 1885 r., radca miejski Stanisław Rehman, urządzając w świeżo wówczas otwartym Parku Krakowskim, przy ulicy Karmelickiej skromny zoolog, zawierający niektóre okazy fauny polskiej.

Jak długo trwał on, jakie zawierał okazy i co było powodem jego zwinięcia — nie zdołałem dociec. W każdym razie około 1904 roku, w tym samym parku, a może nawet na tem samem miejscu powstał nowy zwierzyniec, własność Antoniego Musiołka, właściciela sklepu zoologicznego „Ornis". Zwierzyniec ten był obszerniejszy i bogatszy od poprzedniego, zawierał też pokaźne okazy, jak: bizon amerykański, lama, niedźwiedź, lampart, hiena, wilki, jelenie, daniele, sarny, lisy, borsuki, świstak, jeżozwierz, ostronos, barany, wiewiórki, psy rasowe, małpy: pawian, Rezus; z ptaków: sępy, orły, kania, puhacze, pawie, bażanty, gołębie, sułtanki, kury, papugi, łabędzie, dzikie kaczki i gęsi.

Z pewnemi zmianami — jak zresztą w każdym zwierzyńcu, gdzie zwierzęta ubywają i przybywają — przetrwał zwierzyniec Musiołka mniej więcej do roku 1912. Przeniesiony potem do willi właściciela na Dębnikach, wegetował jeszcze ze dwa lata na ciasnem podwórku, aż nadeszła wojna światowa, która istnieniu jego kres położyła, jak wielu innym zresztą istnieniom...

Tak mniej więcej przedstawia się skromna historja krakowskich zwierzyńców.

Obecnie powstający zoolog jest więc trzecim z kolei i rokuje jak najdalej idące nadzieje na daleką i długą metę, a to ze względu na dobór ludzi fachowych i czynniki miejskie, stojące ramię przy ramieniu i w pełnem zrozumieniu doniosłości sprawy, jaką jest organizowany przez nich zwierzyniec w Lesie Wolskim, który naocznie i z wielkiem zainteresowaniem obszedłem i obejrzałem.

Było to więc dnia 3 września ubiegłego roku. Po nocnej podróży, stanąłem rano w Krakowie. Dzień był słoneczny i ciepły. Nie mając wiele czasu, będąc bez śniadania, wsiadłem wprost z pociągu do tramwaju Nr 4, którym dostałem się na peryferje Krakowa, dalej autobusem przez Wolę aż ku Przegorzałom, pozostałą zaś część drogi aż do „Zwierzyńca", odbyłem — pnąc się w górę — per pedes apostolorum. Razem od rynku około 4 kilometry drogi, idącej obok strzelnicy wojskowej i pięknego, w stylu odrodzenia, pałacu Justa Ludwika Decjusza na Woli Justowskiej, znanego sekretarza króla Zygmunta Starego i autora historji Polski. Fundatorką Parku Ludowego na Woli, jest Kasa Oszczędności m. Krakowa, która z okazji 50-cio lecia swego istnienia złożyła hojny dar dla obywateli m. Krakowa, a który z pożytkiem dla mieszkańców, wykorzystać umiał ówczesny i zasłużony prezydent Juljusz Leo (*1861 †1918). I tak ocalały wszystkie drzewa będące ozdobą tej okolicy miasta. Cała przestrzeń parku wynosi około 560

---

nu, zawieszonego na sznurku przez ramię. Szaro-zielone, płócienne ubranie i wielka czapa ze sztucznego białego barana, nadawały mu wygląd dezertera bolszewika. — Łykowe łapcie na nogach i zamoczone powyżej kolan spodnie, wskazywały na długą podróż po mokrej puszczy odbytą. Postał tak długą chwilę niezdecydowany w księżycowej poświacie i przyłożywszy dłonie do ust, nagle wydał płaczliwy, przeciągły huk sowy.... Z dłuższemi przerwami, te sowie pohukiwania powtarzał, a w międzyczasie pilnie słuchał...

Wreszcie z dalekiej, zachodniej strony, musnął jego słuch głos podobny, na który szybko odwrócił się i znowu kilkakrotnie, jak sowa zawołał. Daleki, ale już wyraźny głos w ten sam sposób mu odpowiadał, więc zdecydowany szybkim krokiem ruszył i za chwilę znikł w ciemnej gęstwinie.

Szedł śpiesznie, przedzierając się przez gęste zarośla i nawpół przegniłe zwały olbrzymów-jodeł, powalonych wiekiem i burzą, a coraz to wabił jak sowa i według coraz wyraźniejszych odpowiedzi, śpieszny swój krok kierował.

Nagle stanął jak wryty przed takąż samą postacią drugiego uzbrojonego w karabin ducha puszczy, który nagle z za pnia sosnowego wyrósł i mierząc weń z karabinu ostro zapytał:

— Kto idiot?!

— Moskwa.

— Kuda?

— Warszawa.

— Prawaliwaj! A czewo oriosz po lesu okajannyj?!

— Z dorogi zbiwsia.

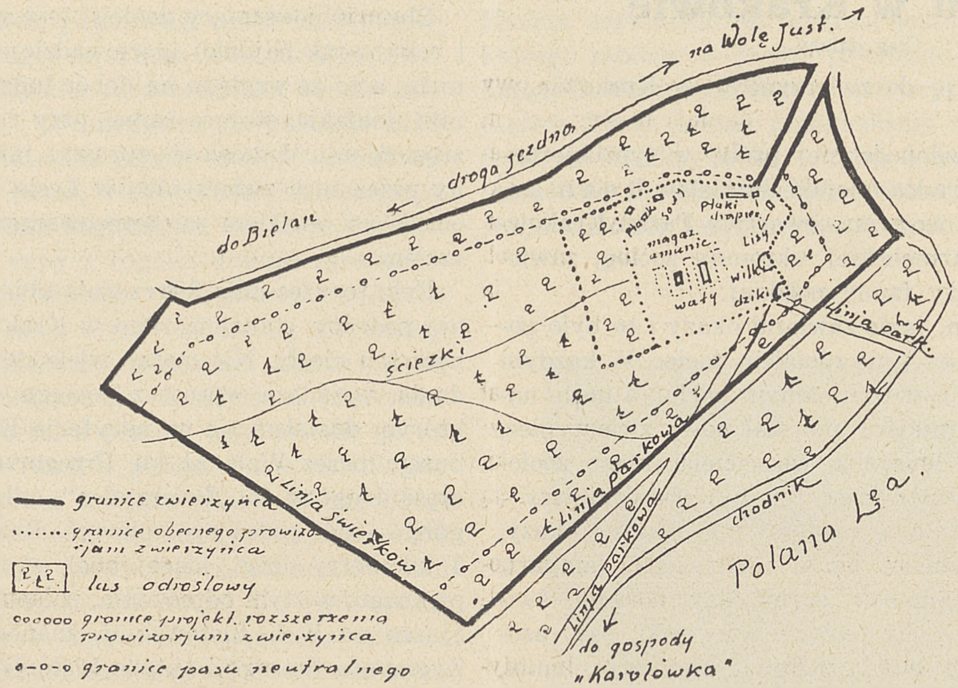
— Nu kak i nie zbitsia takoj baszkie baranjej. Idi skorjej k ogniu, dokładywajsia po naczalstwu.

O kilkaset kroków migały między wysokiemi sosnami nieznaczne światełka roznieconych ognisk. Do nich skierował się przybyły. Po drodze zatrzymała go jeszcze raz ukryta za sosną pikieta, aż wreszcie znalazł się w promieniu oświetlonej kilku ogniskami polany. Kilkudziesięciu ludzi, w rosyjskich „gimnastiowkach", starych mundurach wszystkich armij świata i poleskich świtkach, w butach, łapciach i boso, siedziało w kucki, na pniach drzewnych i leżało na ziemi przy płonących ogniskach.

Przed największym stosem płonących ogromnych szczap sosnowych siedziało na ogromnej, zwalonej jodłowej kłodzie, dwuch ludzi: jeden w szaro-zielonym frenczu, długich, wyczyszczonych butach i czapce z daszkiem, z browningiem w futerale, przypiętym do szerokiego pasa i trzciną w ręku — miał coś w swej niewysokiej, ale muskularnej postaci przypominającego dra-

morgów. Z drzew przeważają dęby, buki, jesiony, i jawory gęsto podszyte krzewami, jest też brzoza i osika; sosen, jodeł i świerków — znacznie mniej.

nie znalazłem ani jednego papierka na trawie. O porządek dba nie tyle publiczność, ile raczej służba zamiatająca i zbierająca każdy niedopałek.



Drogi, liczne ścieżki i chodniki czysto i starannie utrzymane. Liczne tabliczki z napisami, orjentują publiczność. Czytamy: „Chodnik Lea", „chodnik Karola", „chodnik Hanny", „leżenie wzbronione", „szanować roślinność", „nie chodzić i nie deptać trawników". Nigdzie

Pełną uroku jest Polana Lea, skąd roztacza się przepiękny widok na błękitną wstęgę Wisły, na prastarą siedzibę legendarnego Kraka, na gęstwinę leśną w Przegorzałach i góry, aż hen! ku granitom sinych Tatr. Zapatrzonemu w tę cichą i tajemniczą, i nieskalaną dal przy-

---

pieżnego jastrzębia, lub krwiożerczego rysia. Zlekka skośne tatarskie małe oczy zdawały się ciskać przed siebie pioruny. Przy blasku ogniska fosforyzowały chwilami, jak ślepia nocnego drapieżnika.

Drugi, do przesady przezbrojony, z dwoma rewolwerami za pasem, długą huzarską szablą u boku i ostrogami przy długich, sznurowanych do kolan kamaszach, ryżą małą bródką i brodawką na zakrzywionym nosie, nerwowo-ruchliwy, — przypominał też coś drapieżnego, ale nikczemniejszego gatunku: hyenę, albo szakala.

Gdy przybyły, przybierając służbową postawę, stanął przed siedzącą na kłodzie władzą, pierwszy spokojnie, ale ostro go zapytał po rosyjsku:

— No cóż, Siemionow? Sam przychodzisz?

A drugi poderwał się nerwowo z kłody i plącząc się w brzęczącej szabli zasypał go gradem też rosyjskich, ale dziwnie akcentowanych, bezładnych pytań:

— Gdzież leśnik Mykita? Czemu go nie przyprowadziłeś? Nie chciał iść? Oszukał? Przecież był dziś ze mną na miejscu. Obiecałem mu sto karbowańców, jak wszystko dobrze pójdzie. A ty go nie potrafiłeś przyprowadzić, bałwanie, mając dwóch ludzi ze sobą?

Indagowany, nie zwracając żadnej uwagi na jazgot okrutnie uzbrojonego wojownika, raportował spokojnie pierwszemu po rosyjsku:

— Leśnika Mykity nie zastaliśmy w domu. Nie wrócił jeszcze z obchodu. Żona mówiła, że przed północą napewno będzie. Zostawiłem dwóch ludzi w leśniczówce i kazałem przyprowadzić do nas babę, jeżeli mąż nie wróci. Sam przyszedłem zameldować.

— Dobrze, odpowiedział spokojnie siedzący. Idź do ogniska posilić się, a jeżeli leśnika nie przyprowadzą przed północą, pójdziesz pod sosnę.

Przybyły wykręcił się po wojskowemu na pięcie i poszedł do ogniska, a bojowy wojownik nie przestawał jazgotać jak nakręcona pozytywka, przewidując wywalenie się całej imprezy, zdradę leśnika, przybycie policji i swoją śmierć niesławną na gałęzi sosnowej.

— I ochota wam, towarzyszu-komisarzu, tak trzeszczyć bez żadnego tołku jak sroka — odparł atakowany. Wyżej już jak na gałąź nie zajdziecie, a ta oddawna wam się należy. Siedźcie lepiej spokojnie i nie ośmieszajcie się przed ludźmi.

— Dobrze wam, towarzyszu-pułkowniku, siedzieć spokojnie, jak ja w Mińsku za wszystko odpowiadam. Niech nie uda się ta cała czartowska wyprawa, kto będzie winien? Niech wam ludzi wyłapią, kto będzie odpowiadał? Albo i samemu przyjdzie się kości zgnoić w tej przeklętej polskiej tundrze.

C. d. n.

szły mi na myśl nieśmiertelne słowa Piewcy Ojczystej Ziemi W. Pola:

„Hej turnie moje! Wy hale moje!
Jakież was cudne wychwalą słowa?
Widno z was widno, widno na dwoje,
Bo i do Spiżu i do Krakowa".

Z drugiej strony widok z perspektywą na dziejowy zamek tyniecki i wzgórze ze wspaniałym sięgającym XVII wieku klasztorem Konwentu OO. Kamedułów, dalej znów widok na byłą własność ks. Czartoryskich, piękny pałac w stylu barokowym, zabytek z ubiegłych stuleci.

Człowiek zachwycony otoczeniem zapomina mimowoli o troskach codziennych i podłości świata, podziwia Wszechmocność i Jej dzieła, i wtedy, choć na krótko — żyje naprawdę.

Zdaje mi się, że szatan kusząc Chrystusa nie pokazał Mu piękniejszego widoku, jak ten zakątek ziemi ojczystej, który oglądać mogłem własnemi oczyma. Kioski, altany, drobne budowle dekoracyjne, ławeczki, ożywiają park.

Dla spacerowiczów i wycieczkowców spragnionych posiłku są w kilku miejscach bufety, otwarte jednak tylko po południu.

Będąc rano w tym parku, byłbym omdlał z głodu, gdyby nie czekolada Piaseckiego, którą wiozłem w kieszeni, jako gościniec dla dzieci. Jakże mi ona wtedy smakowała, nawet poczciwa sarenka delektowała się jedną tabliczką, którą bez obawy z ręki mi sprzątnęła.

Z Polany Lea prowadzi droga do „Zwierzyńca", ścieżką zaś leśną dotrzeć można do bażantarni. Udaję się wpierw w stronę zwierzyńca. Po drodze spotykam rozsadnik drzew egzotycznych, założony w 1927 roku; mijam na skrzyżowaniu dróg jedyną tu studnię i kilkanaście kroków stąd dalej znalazłem się, wchodząc żelazną bramą, na małej malowniczej łące, ogołoconej z drzew, z wałami ziemnemi, gdzie doniedawna były wojskowe magazyny amunicji.

Na przestrzeni tej w kształcie nieregularnego wieloboku, a ogrodzonej drutem kolczastym, rozpiętym na betonowych słupkach, pomieszczono zwierzyniec. Jest to cichy, spokojny zakątek, niezakłócony zgiełkiem miasta, jakby umyślnie wsunięty między odroślaki. W przyszłości zwierzyniec ten ma obejmować obszar 22 morgów.

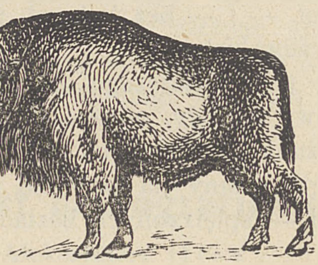
Nadmienić muszę, że Kierownictwo Zarządu Lasów Wolskich, spoczywa od 1917 roku w ręku starszego radcy leśnictwa, p. inż. Wincentego Wobra, wielkiego miłośnika przyrody i jej żywych tworów, pracującego z całem zamiłowaniem i poświęceniem się.

Objąwszy ten 560 morgowy majątek leśny w stanie zupełnie zdegenerowanym, potrafił wśród najtrudniejszych warunków powojennych, a głównie przy ciągłym braku funduszów, dźwignąć go z upadku swą żmudną i wytrwałą pracą i uczynić atrakcją Krakowa. Pragnie go zamienić, podobnie jak Linzenpark obok Wiednia, na park leśno-zwierzyńcowy z zagnieżdżeniem się ptaków pożytecznych i śpiewających w sztucznych gniazdach i dziupłach systemu ornitologa prof. Dra Berlepscha. Niestety! Los mi poskąpił spotkania się osobistego z p. inż. Wobrem, który wówczas — jak mnie poinformowano — był poza Krakowem na wywczasach letnich.

Interlokutorami moimi byli trzej strażnicy leśni: Franciszek Mikunda, dozorujący przeważnie bażantarnię, jako były bażantarnik u księcia Marcelego Czartoryskiego, Karol Waligóra, zatrudniony w zwierzyńcu i Jan Śliwa. Wszyscy trzej nadzwyczaj grzeczni, rywalizowali wzajemnie w udzielaniu odpowiedzi na moje zapytania. Dalsze, późniejsze szczegóły otrzymywałem od osób zainteresowanych, którym za ich niezwykłą gotowość, serdeczną składam podziękę.

Pokaźny wcale i poważny zaczątek zwierzyńca już istnieje. W dniu 15 września 1928 r. liczył on 23 ssaki i 75 ptaków, razem 98 sztuk, wartości 2220 zł. Po uporządkowaniu tego, co już zebrać zdołano, będzie on otwarty (zapewne z początkiem lata 1929 r.) dla szerszych warstw publiczności.

C. d. n.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

Ta okoliczność, oraz intenzywne wypalanie traw, które w wyżynnym kraju górnej Sziry, oraz w okolicach nad jeziorem Njassa rozpoczęło się w tym roku wcześniej, niż zazwyczaj, spowodowała mój odwrót do niżej położonych obszarów. Z wielkich zwierząt — słoń i bawół, jako najbardziej tą posuchą dotknięte, opuściły górskie ostępy, a te nieliczne tropy, jakie znajdywaliśmy w ostatnich czasach, wskazywały na to, że ich autorzy są w pospiesznej wędrówce, i że należy ich szukać w innych stronach.

Z wyjaśnień czarnych myśliwych, jakie tu i owdzie zebrałem, doszedłem do przekonania, że gruboskórców należałoby poszukiwać daleko stąd na zachód — w dolinie rzeki Loangwy (w górnym biegu białym podówczas — nieznanej) — albo na wschodzie na bagnistych terenach słonego jeziora Szirwy, skąd mogły tak dobrze powędrować na północ, jak i na południe, stosownie do tego, gdzieby więcej paszy zielonej dla swych cieląt znalazły.

Z bawołami rzecz się miała tak samo, z tą tylko różnicą, że nie odbywały one tak dalekich podróży, a brak

zielonej paszy, niezbędnej do wyżywienia odstawionych w tej porze cieląt już przedtem wygnał te ostrożne zwierzęta w bardziej otwarte okolice w pobliże większych rzek i jezior, o błotnistem pobrzeżu.

Chociaż mię ciągnęło na zachód—w kraj nieznany—musiałem wracać. Szczupłość karawany i niedostateczny zapas towarów zamiennych, kursujących tu jako moneta obiegowa, niemniej także nieprzyjazna postawa czarnych, będących pod wpływem Arabów, handlarzy niewolników — nie pozwalały na dalsze posuwanie się w tym kierunku.

I tak dążąc znowu szlakiem słoni ku wschodowi dotarłem do jeziora Szirwy, skąd — wiedziony świeżymi tropami — zawróciłem w góry „Shire-luglands“, aby w końcu — po nieszczęśliwym wypadku, jaki spotkał jednego z moich ludzi*) i zdemoralizował całą karawanę — dostać się, na znany mi z lat poprzednich, step „Dabani“ t. zw. „Elephant-marshes“.

Stanąłem tam dopiero w połowie sierpnia, po długich, wyczerpujących marszach, znużony i przygnębiony niepowodzeniami, — i — bez żadnych poważniejszych rezultatów myśliwskich.

Było to w pełni tutejszego okresu zimowego, kiedy wszelkie trawy poschły, większość drzew utraciła swe listowie, a dżungla kolczastych krzaków u podnóża gór, którędy wkraczaliśmy na równinę, przedstawiała nędzny wygląd — spiętrzonych bezładnie kup chrustu i patyków.

Step z tej strony — zastałem już najdokładniej wypalony. Oglądany z pewnej wysokości — dawał przedsmak nudy i zwątpienia dla tego, który na tych — jak się zdawało — bezkresnych zniszczonych obszarach, zechce szukać emocji myśliwskich.

Oko nie miało tam gdzie spocząć, chyba na tych niesamowitych trąbach powietrznych, niosących pył i popiół, które powstając nagle tu i ówdzie na równinie — znikały tak samo niepostrzeżenie.

Co więcej — dżungla trzcinowa, okalająca t. zw. martwe wody, która z tej strony stepu w inne lata pokrywała znaczne obszary — znikła zupełnie. Doskonałe kryjówki dla najgrubszej nawet zwierzyny, odkrył ogień ciekawym oczom ludzkim. Zaledwie gdzieniegdzie spostrzegało się oazy tych zarośli, — i to tylko tam, gdzie jaki taki dopływ wody się utrzymał, a gąszcz traw „mabande“**) płaszczem swych liści i łodyg, ochroniła ten zbiornik od zupełnego wyparowania.

I jakże mogłem się spodziewać, że tu znajdę słonia lub bawoła, najostrożniejszych z pośród zwierząt? Jakże można było mieć jakie-takie widoki na polowanie jeszcze z tego powodu, że obszary te nieledwie przed pół rokiem były terenem zaciętych walk Portugalczyków z Makololami? Tysiące ludzi przewinęły się tędy, setki ich polowało na stepie, bo obie strony walczące — dla zdobycia mięsa — wysyłały całe bataljony ludzi na polowanie. I dzień w dzień grzmiały tam salwy karabinowe, i unosiła się wrzawa głosów ludzkich podczas uczt nocnych — po zdobyciu pożądanej dziczyzny.

Tymczasem co za niespodzianka?

Już pierwszego dnia po wejściu do lasku palmowego zdumiony byłem ilością świeżych tropów rozmaitej zwierzyny, między któremi odbijał dość jeszcze wyraźnie — niezbyt dawny odcisk stopy słonia.

A step?

Wystarczyło wdrapać się na pierwszy lepszy kopiec termitów, aby zobaczyć tam obrazek nigdy nie zapomniany. Wszystkie zagłębienia terenu — niedostrzegalne z większej odległości — roiły się od najrozmaitszych czworonogów. Po wyschniętych łożyskach „martwych wód“ wyskubywały resztki, napół zwęglonych łodyg, doniedawna soczystej trawy, lub zlizując, wykwitłą gdzieniegdzie sól.

Liczba ich szła już nie w setki, ale w tysiące, przedewszystkiem bawołów. Przeżuwacz ten chodzi teraz w skupieniach od dwustu, do pięciuset głów. W jednym dniu — podczas ośmiogodzinnego marszu przez step—naliczyłem w pięciu stadach — około dwa tysiące bawołów.

W braku innej grubszej zwierzyny — zająłem się bawołami. Przedewszystkiem chciałem podpatrzeć to i owo z ich życia, i — jeśli się uda — zdobyć także kilka lepszych głów bawolich, jako trofea myśliwskie. Oczywiście byłem zupełnie przekonany, że przyjdzie mi to łatwo, skoro taka ilość włóczy się dokoła.

Rozczarowałem się jednak dokładnie. C. d. n.

*) Porwany przez lwa — w biały dzień — w pobliżu obozu.

**) Charakterystyczna roślina miedzyzwrotnikowej Afryki — z rodziny traw. — Rośnie na tłustem, mulistem podłożu na dnie wód bieżących i stanowi główne pożywienie hipopotamów, bawołów i pewnego gatunku antylop, żyjących nad wodami.

Gen. WALERY MARYAŃSKI

Kilka uwag o konstrukcji modnych drylingów

Ciąg dalszy

Widzimy więc, że pod względem dobroci i skuteczności tak kulowego, jak i śrutowego strzału nowomodne konstrukcję drylingów stoją najzupełniej na wysokości zadania.

Co się zewnętrznego wyglądu, wagi i balansu (tj. rozmieszczenia wagi) tyczy — to — jak nadmieniłem — dzięki zastosowaniu znakomitej stali i udoskonaleniu konstrukcji — przedstawiają się modne drylingi bardzo dobrze — a ważąc nawet w poważniejszych kalibrach poniżej 4 kg mogą uchodzić za broń doskonałą w praktycznem użyciu.

2) Dalszym warunkiem dobrego drylinga jest a b s o l u t n i e p e w n e funkcjonowanie mechanizmu.

O ile mowa byłaby o drylingach kurkowych — to ich konstrukcja została już przed 20 laty tak udoskonalona, że gwarantuje ona zupełnie pewne funkcjonowanie, jednak kurkowe drylingi, jak broń kurkowa wogóle — aczkolwiek ma jeszcze wielu zwolenników — przechodzą

do przeszłości — i dziś spotyka się przeważnie drylingi bezkurkowe.

Co się tych ostatnich tyczy — to niestety jeszcze do bardzo niedawna zarzucano im — i to słusznie — pod wzgl. funkcjonowania mechanizmu dwie wady — a to:

a) że często wypalają równocześnie dwie lufy tj. górna prawa i dolna (t. zw. „strzał podwójny"),

b) nie dość pewnie funkcjonujący bezpiecznik.

Ad a). Wypadki „strzału podwójnego" obserwowałem osobiście przy broni bardzo wysokiej klasy np. nawet przy drylingu — hammerless roboty Springera — nie mówiąc o mniej renomowanych firmach.

Przyczyna zaś leży nie tyle w niedokładnem wykonaniu wzgl. w pewnem zużyciu mechanizmu — ile w konstrukcji zasadniczo nie dość doskonałej.

Ponieważ wielu P. T. Braci w św. Hubercie, mimo, że używają bezkurkowych drylingów przez szereg lat, jeszcze nie znają jego wewnętrznej konstrukcji — przeto pozwolę sobie trochę szczegółowo dotknąć ten temat.

Pierwszy zamek bezkurkowego drylinga był co się przewodniej myśli konstrukcyjnej tyczy — oparty o zamek kurkowego drylinga.

Mianowicie prawy zamek obsługujący prawą lufę był tak urządzony, że młotek, a raczej „orzech" — uderzający w iglicę prawej lufy — miał rodzaj nasadki, która po przestawieniu suwaka „na kulę" — uderzała w iglicę lufy kulowej — nie dotykając iglicy prawej lufy. Były więc zasadniczo d w a zamki, obsługujące t r z y lufy.

Mechanizm ten, w konstrukcji pojedynczej i do wykonania łatwy — miał jedną wielką wadę tj., że po wystrzale, czy to z prawej, czy kulowej lufy, trzeba było dryling otworzyć, by napięcie mechanizmu prawego zamka uskutecznić.

Rozmaite próby celem usunięcia tej niedoskonałości nie doprowadziły do pomyślnego rozwiązania — trzeba było zasadniczo coś innego stworzyć — i tak powstał dryling bezkurkowy o t r z e c h zamkach — na każdą lufę osobny — jednak d w a cyngle*).

Drylingi trzyzamkowe istnieją na ogół w dwóch odmianach a to:

a) wszystkie trzy zamki umieszczone na płycie cynglowej (np. Auson Deeley),

b) zamki dla luf górnych jako zamki boczne (a la Holland-Holland) — zaś dla lufy kulowej zamek na płycie cynglowej.

T. zn. „przestawienie na kulę" uskutecznia się najczęściej za pomocą „suwaka" na szyjce kolby, którego przesunięcie naprzód łączy dźwignię zamka kulowego z prawym cynglem przy równoczesnem wyłączeniu dźwigni zamka lufy prawej. Przesunięcie suwaka w pierwotne położenie przywraca stan pierwotny tj. gotowość do strzału lufy prawej i wyłączenie zamka kulowego.

Przy wszystkich u nas spotykanych t r z y zamkowych drylingach powoduje otwarcie broni napięcie wszystkich t r z e c h zamków.

I w tem leży zasadnicza przyczyna t. zw. „podwójnych strzałów".

Bo jeśli zamki w ogóle nie są doskonale odrobione, jeśli materjał nie jest pierwszorzędny, jeśli hartowanie pojedynczych części jest za miękkie lub za twarde — co wszystko od rusznikarza prawie artyzmu wymaga— jeśli zamki a głównie spusty są za lekkie lub cokolwiek zużyte — to wstrząśnienie broni wywołane wystrzałem np. z prawej lufy może spowodować zeskoczenie dźwigni zamka kulowego ze spustu i wypał lufy kulowej.

Bardzo często ma „podwójny strzał" swoje źródło w tem, że suwak przez nieuwagę myśliwego lub — o ile prawa dłoń nie obejmuje szyjki kolby b. silnie — przez odrzut broni — wstaje cokolwiek naprzód — lecz nie zupełnie — przesunięty — tak, że zamek prawej lufy j e s z c z e nie został wyłączony a załączenie dźwigni zamka kulowego j u ż nastąpiło.

Zdarza się to np. gdy sprzęgło wzgl. dźwignie dotyczących zamków są zanieczyszczone zeschłą oliwą lub t. p. Wtedy naturalnie wypalają dwie lufy naraz — a nie rzadko wskutek ogromnego wstrząsu także i trzecia lufa. C. d. n.

*) Były próby konstrukcji t r z y c y n g l o w y c h — ale okazały się tak niepraktyczne, że znikły b. wcześnie — dlatego je pomijam.

Notatki bibljograficzne.

Gałuszka Józef Aleksander. G ł o s y z i e m i. Warszawa. Hoesick, 1929. Str. 75 i spis rzeczy.

Jestto tomik utworów utalentowanego poety. Tomik ten zawiera m. i. piękny „Hymn o Lwim Grodzie", napisany w dziesięciolecie obrony Lwowa. Są tu także utwory, poświęcone przyrodzie. Jest wiersz pod tytułem: „Polowanie na kuropatwy". Inny wiersz, pod tytułem: „Las w śniegu", powtarzamy w całości:

„Las cały biały:
na biały całun płatki białe opadały
cicho jak pióra łabędzie,
po zesłych liściach szemrały
drżącem skrzydełkiem komara
i szept ich cichy gasł —
Drzewa w papieskich tiarach
drzemały
i drzemał w śniegów legendzie
samotny, biały las — —

Przez bieluteńki puch
ślad miękkich łapek zajęczych — —

W krzakach ciernistych ostrężyn
z pod śnieżnej siatki pajęczej
czai się żądło dwóch luf:
Padł strzał! — echo niesie
po lesie
dalekie — — Pod niebem puszystem skonało — —
I znowu las głuchy
w śniegowe legł puchy —
cichutko wokoło i biało — —"

W. Z.

Korespondencje

Z Mozajki lisiej

1. Lis wegeterjanin

W październiku roku zeszłego znajomy mój p. K. wyjechał faetonem wraz z żoną, wczesnego słonecznego popołudnia w pole, celem obejrzenia orki. Gdy przejeżdżał drogą polną, obok świeżo wschodzącej na buraczysku pszenicy, zwrócił mu uwagę woźnica na lisa, który na tymże łanie o kilkaset kroków od drogi, coś białego zajadał.

Ponieważ p. K. broni ze sobą nie miał, pojechał spiesznie do pługów, których dozorca miał przy sobie strzelbę pośledniego gatunku, celem płoszenia i tępienia gawronów niszczących zasiewy pszeniczne. Wziąwszy tę dubeltówkę, polecił woźnicy ostrożnie lisa okrążać i podjeżdżać. Ten rzeczywiście tak sprytnie manewrował, że zbliżył się, nie płosząc lisa — na jakich 60—70 kroków.

Po strzale wywrócił się mykita martwy, trzymając ów biały przedmiot w pysku. Tym przedmiotem, był duży burak cukrowy, niezebrany z pola.

Widocznie lis ten był namiętnym amatorem słodyczy, skoro w biały dzień, w czasie ruchu w polu i mając w dostatecznej ilości innego żeru — z taką zapamiętałością konsumował buraka i to go ostatecznie zgubiło.

2. Lisie wesele w chałupie

Tuż za folwarkiem majątku R., stoi w polu za ogrodem opuszczona, niezamieszkana, waląca się chałupa.

Z końcem lutego bieżącego roku chłopak dworski, w poszukiwaniu taniego materjału opałowego, zbliżył się wieczorem do tej rudery a gdy był już od niej kilkanaście kroków, ujrzał nagle ku swemu niemałemu zdziwieniu, jak z niej przez wybite okno zaczęły wyskakiwać jeden za drugim lisy, a było ich siedem.

Niezawodnie lisiska znalazły w porze godowej więcej miejsca i komfortu w opuszczonej chacie, aniżeli w swej ciasnej i dusznej norze — urządziły sobie tam huczne weselisko — lecz niestety, z przeszkodami.

Dr. Malsburg

Chodorów w marcu 1929

Tegoroczna zima zrobiła wielkie szkody w zwierzostanie. Już obecnie donoszą ze wszystkich stron o znalezieniu większej ilości sarn, które padły w okresie ostatnich mrozów, a w szczególności same młode z zeszłorocznego rzutu. Dalsze szkody okażą się dopiero po stajaniu śniegu. Wielką winę w danym wypadku ponoszą właściciele terenów, którzy zupełnie, lub też w małej mierze starali się o wyżywienie zwierzostanu. Dowodem tego, że w jednym majątku, w którym dawano karmę zwierzynie, lecz w niedostatecznej ilości padło 28 sarn, natomiast w Zarządzie dóbr Tow. Akcyjnego cukrowni Chodorów, padło zaledwie 3 sarny i to najprawdopodobniej sztuki słabe.

Wielka zasługa w danej sprawie jest p. Zygmunta Piszczakowskiego, dyrektora dóbr, który dbając o stan zwierzostanu, polecił karmić zwierzynę tak, że do chwili obecnej wydano z zarządu folwarków przeszło 15 centnarów koniczu, 5 kóp owsa, prócz jarmużu i rzepaku, którego zasiano przeszło 3 morgów. Zaznaczam dalej, że p. Zygmunt Piszczakowski przez ostatnie dwa lata nie urządzał gremjalnych polowań, a w ostatnim sezonie ograniczył się do odstrzału 6 kozłów i 18 zajęcy. Obecny więc stan sarn w rewirze Korcze wynosi około 60 sztuk, w rewirze Brydki około 50 sztuk, w rewirze Rudka 30 sztuk, czyli na całym obszarze około 140 sarn w tem 35% kozłów. W roku ostatnim Zarząd Dóbr cukrowni premjował zabicie 15 psów, 20 jastrzębi i kilkadziesiąt wron. Na całym obszarze jest odpowiednia ilość „tryzubów" i lizawek tak, że zwierzyna nie musi poszukiwać karmy. Stan zajęcy bardzo dobry, nie znaleziono ani jednej padłej sztuki. — Kuropatw jest kilkanaście stad, które przez całą zimę karmiono, a ostoję miały w stodołach folwarcznych. — W pracy tej pomaga wiele miłośnik zwierzostanu p. Muryczak Józef, który jest pracownikiem Zarządu Dóbr cukrowni. — Niech słów tych parę skreślonych przezemnie, będzie nagrodą dla tych, którzy zajęli się zwierzyną w czasie katastrofalnej zimy, jaka miała miejsce w roku bieżącym.

Lesław Katzer del. M. T. Ł.

6 kwietnia 1929

Co to za żubry?

W Nrze 93-cim Warszawskiego „Expresa Porannego" z dnia 5 kwietnia b. r., wyczytałem, że Magistrat warszawski zakupił od znanej firmy Hagenbecka z Hamburga, cztery żubry dla swego ogrodu zoologicznego z późniejszym zamiarem wypuszczenia tego cennego nabytku na wolność w Puszczy Białowieskiej.

Szlachetnemu temu zamiarowi przyklasnąć musi radośnie całe nasze społeczeństwo nietylko łowieckie, ciesząc się, że w dawne dziedziny powrócą choć skromne kadry wypartego z odwiecznych a jedynych na świecie pieleszy, żubrzego rodu.

Radość tę mąci jednak na razie pewna wątpliwość, bo mimowoli nasuwa się pytanie, — Co to są za żubry?

Wiadomo, że jedyną ostoją żubrów, już od drugiej połowy XVIII wieku była tylko puszcza Białowieska i to nie tylko odnośnie do Polski ale i do całego świata.

Wprawdzie dwór rosyjski robił od czasu do czasu dary w postaci żubrów ościennym monarchom i różnym potentatom, ale prócz Pszczyny, gdzie do ostatnich czasów żyło kilkanaście żubrów, kolonje te żubrze nigdzie się nie rozpleniły i żyły tylko, jako sporadyczne okazy, w zwierzyńcach lub ogrodach zoologicznych.

Wojna światowa starła żubry zupełnie z powierzchni ziemi w Puszczy Białowieskiej, a w Pszczynie i Poznaniu pozostawiła ledwie kilka niedobitków. — Być może że po za temi błąka się jeszcze kilka żubrów w zoologicznych ogrodach Niemiec, a może i Anglji. — I na tem koniec. — Jeżeli zależy na żubrach „pełnej krwi" t. j. na żubrach białowieskich, które jedynie sercom naszym są drogie i jedynie powołane do dalszego snucia biało-

wieskiej tradycji — i piastowskich i jagiellońskich wspomnień.

Wobec tej ustalonej rzadkości białowieskiego żubra na kuli ziemskiej, dziwną wydać się musi łatwość, z jaką Hagenbeck rozporządza całemi transportami żubrów, tak jakby to były Fryzy albo Oldenburgi i mimowoli ciśnie się na usta pytanie: co to za żubry?

Przypuszczam, że chyba nie amerykańskie bizony, ale mogłyby to być kaukaskie żubry, które w szczegółach budowy różnią się znacznie od naszych i jakkolwiek ze stanowiska łowieckiego mogłyby być uważane w razie aklimatyzacji za bardzo cenny nabytek dla ziem polskich; byłyby zawsze tylko egzotycznym surogatem naszego białowieskiego żubra.

Czy w krwi kaukazkich żubrów nie błąka się jaka białowieska kropla, nie wiem. — Byłoby to możliwem, o ile wielcy książęta rosyjscy, którzy dzierżyli prawa łowieckie na znacznych połaciach Kaukazu, usiłowali tam przeszczepić żubra białowieskiego. — Czy taka próba krzyżowania odbyła się kiedy i z jakim skutkiem, wyjaśni może ktoś znający lepiej odemnie stosunki białowieskie z przed wojny.

A. Przedrzymirski

Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

Powiat Nowy Sącz.

Z obowiązku, jako delegat Małop. Tow. Łowieckiego, przychodzi mi po skończonym sezonie zdać sprawozdanie z przeżytych wrażeń myśliwskich. Nie ulega wątpliwości, że instynkt odziedziczony po naszych dziadach i pradziadach pcha nas z taką żywiołową siłą na te nasze polowania, że nie zwracamy uwagi nieraz, jak było tej zimy, na fatalną aurę, mogącą sprowadzić nieobliczalne następstwa dla zdrowia a nawet życia naszego — a zastanawiając się, czemu to przypisać, przyszedłem do przekonania, że wytłumaczyć to można tylko tem, że przy dzisiejszym upadku form pięknych czujemy wszyscy trywializm i bezbarwność naszych stosunków społecznych i towarzyskich. Przygnieceni powszednością realnego życia, szukamy z serdeczną tęsknotą piękniejszych wrażeń i wątku do idealniejszych uczuć. Łatwość powszednia naszych stosunków sprawia nam przykre znużenie i niesmak jakiś budzi się nieopisany. Czujemy w najszlachetniejszej głębi uczucia naszego próżnię, której zapełnić nie umiemy, bo otoczenie nasze zewnętrzne, odmawia nam wszelkiej poetycznej karmy duchowej. Zwracamy się tedy do tej zawsze kojącej i pięknej, zawsze wspaniałej natury i oddajemy jej umysł nasz znużony, aby się odświeżył w krynicy szlachetnych wrażeń i przepoił czarem tego piękna, którego natura niewyczerpaną jest skarbnicą. Musimy więc iść na polowanie, na łono natury, które zapomnieć nam każe o drobnych dolegliwościach rzeczywistego życia, bo natura pozostanie zawsze krynicą szlachetniejszych i piękniejszych wrażeń, a zespół myśliwski jedną z najpiękniejszych form życia towarzyskiego.

Początek sezonu łowieckiego był szary i smutny i czekać musieliśmy czas dłuższy, zanim ziemia pokryła się puszystym kobiercem śniegu i nastała piękna, mroźna zima polska. Cóż kiedy ze smutkiem podnieść należy, że stan zwierzyny naogół jest gorszy — zające znacznie mniej, niż w zeszłym sezonie, pomimo, że polowaliśmy w naszem kółku myśliwskiem jak w latach ubiegłych raz tylko na pojedynczych terenach myśliwskich — pomimo, że straż łowiecką mamy nieźle zorganizowaną — o jakiejś zarazie nie można mówić, bo nie znajdywano sztuk padłych — jesień i wiosna były nawet dość sprzyjające dla rozmnażania, kłusownictwo i wnykarstwo również znacznie się zmiejszyło — wobec czego wytłumaczyć wprost nie mogę, czemu przypisać to zmniejszenie się stanu zajęcy. Podniósł się za to stan kuropatw, których znajdowaliśmy liczniejsze stadka — boimy się tylko, czy mroźna, wprost syberyjska zima nie porobi znów znaczniejszych szkód w tej skrzydlatej rzeszy i wogóle w zwierzynie łownej.

Naogół odbyło się polowań kółkowych 10 w dziesięciu rewirach, na jakie cały dzierżawiony teren jest podzielony. Razem ubito 129 zajęcy i 3 lisy. Najwięcej na jednem polowaniu 28 zajęcy i lisa — najmniej 5 zajęcy i 2 lisy. Przeciętna ilość zajęcy na jedno polowanie wypada 12, przeciętna ilość myśliwych na polowaniu 11-stu, — Prócz tego strzelono głównie na przelotach około 60 kaczek. Z drapieżników 5 jastrzębi — sam sprawozdawca zastrzelił 116 wron — nie wliczając strzelonych sztuk przez innych towarzyszy z pod znaku św. Huberta.

Z innych polowań na wyróżnienie zasługuje polowanie na Trzycieżu, w majątku Adama hr. Stadnickiego, gdzie strzelono 50 zajęcy i lisa — św. Hubert był na mnie łaskawy, gdyż mnie przypadł strzał do lisa.

Na tem sprawozdanie zakończyćby można. Nie mogę jednak nie podzielić się z zażaleniem z szerszym ogółem myśliwych, jak pomimo wszystko trudną jest praca nad ochroną zwierzyny i prawidłowym jej rozwojem.

Sprawa miała się tak: Straż łowiecka doniosła nam, że na najlepszych naszych terenach łowieckich odbywają się systematycznie ćwiczenia wojskowe. Po porozumieniu się z Wydziałem Kółka myśliwskiego wniosłem do Okręgu Korpusu Nr. V w Krakowie, uprzejmą i należycie umotywowaną prośbę o wydanie zakazu ćwiczeń, przedstawiając, że Biegonice, Łazy Biegonickie i Dąbrówka, a więc trzy malutkie gminy wynoszące razem zaledwie paręset hektarów, stanowią „Rezerwat“, rodzaj zwierzyńca, dla swych nadzwyczajnych warunków dla rozmnażania się zwierzyny, bo są to przeważnie krzaczki i laski, wszystko otoczone polami, przecięte strumieniami potoków. Do tego rezerwatu wpuszcza Kółko myśliwskie co roku zakupione zające dla odświeżenia krwi — tam, o ile zachodzi potrzeba, podaje się karmę w zimie — z tego rezerwatu rozchodzi się zwierzyna nietylko po całym obszarze Kółka, ale wogóle po całym powiecie nowosądeckim. W roku bieżącym zakupiło Kółko odpowiednią ilość bażantów i wpuściło do rezerwatu, aby rozmnożyć ich hodowlę na dziko. Zakątek

taki potrzebuje specjalnej ochrony a przedewszystkiem spokoju i zwierzyna nie może być niepokojona ciągłemi przemarszami a nawet strzałami ćwiczących się żołnierzy, zwłaszcza, że Dowództwu I-go Pułku Strzelców Podhalańskich stoją dziesiątki tysięcy hektarów w innych stronach miasta do dyspozycji, gdzie wszelakiego rodzaju ćwiczenia wojskowe odbywać się mogą. Na to otrzymałem z Dowództwa Okręgu Korpusu Nr. V, do L. 2968 następujące pismo wystosowane na moje ręce:

Na pismo tamt. z dnia 12 IV b. r. zawiadamiam, że ze względów rzeczowych i wyszkolenia nie mogę uwzględnić prośby Kółka Myśliwskiego, odnośnie zaniechania ćwiczeń wojskowych na terenach gmin Biegonice, Łazy Biegonickie i Dąbrówka. Wspomniany rejon, położeniem swojem jak również i warunkami terenowemi jest dla Oddziału Garn. Nowy Sącz, niezbędny. Podpis: Dowódca Okręgu Korpusu Nr V., Stanisław Wróblewski, Generał Dywizji.

Na pismo to, wniosło Kółko myśliwskie w formie nadzwyczaj uprzejmej jeszcze jedno podanie, przedstawiając, że powiat nowosądecki, obejmujący 164 gmin w swoim obwodzie, posiada cały szereg gmin tuż obok miasta położonych, które usytuowaniem swojem, jak również warunkami terenowemi odpowiadają tym, jakie mają Biegonice i t. d., stanowiące rezerwat (tu następuje wyliczenie całego szeregu gmin). Przedstawiliśmy, że rezerwaty myśliwskie na zachodzie np. w Anglji, Francji, Niemczech, Czechosłowacji, a nawet w Rosji, otaczane są serdeczną opieką całego społeczeństwa, że zachodzi wprost jakieś przykre nieporozumienie w danym wypadku, bo nasze Polskie Władze wojskowe z wielką kulturalną kurtuazją popierają wszelkie pokrewne związki strzeleckie, łowieckie, udzielając im swoich strzelnic, prosząc o wzięcie udziału w zawodach i t. p. Przedstawiliśmy, że zasadniczym postulatem myśliwskim nietylko naszego Towarzystwa, ale i całego powiatu jest pozostawienie tego zakątku w spokoju i nie płoszyć zwierzyny ciągłemi marszami i strzelaniną.

Obok tego interwenjował w sierpniu u. r. z osobnem podaniem Oddział Małop. Tow. Łow. w Krakowie; niestety także bezskutecznie.

Ze sprawą tą wreszcie udaliśmy się do Głównego Zarządu Małop. Tow. Łowieckiego we Lwowie, a nawet do referenta Ministerstwa p. radcy Juljana Ejsmonda w Warszawie. Odpowiedziano nam bardzo uprzejmie, że bądą się starali sprawę załatwić — lecz: Roma locuta — causa finita — Lasciate ogni speranca — aby sprawa tak słuszna, była pomyślnie załatwiona; dotychczas na ostatnie podanie nawet odpowiedzi niema.

Upłynie niestety jeszcze dużo wody w naszym pięknym Dunajcu, zanim nietylko pojedyńcze stowarzyszenia łowieckie ale i całe społeczeństwo zajmie się serdeczną ochroną naszych — wstyd powiedzieć więcej, jak marnych — zwierzostanów polskich, oby nie nastąpiło to tylko za późno.

Z działalności Tow. Łow. w Tarnopolu.

W ubiegłym sezonie opolowało Tow. Łow. w Tarnopolu, następujące rewiry lasowe z niżej podanym wynikiem:

Czahary białeckie, strzelb 12, padło 41 zajęcy i 1 lis. Dołżanka, strzelb 14, padło 38 zajęcy i 3 lisy. — Kutkowce-Proniatyn, strzelb 11, padło 15 zajęcy. — Czahary kutkowieckie, strzelb 10, padło 7 zajęcy i 2 lisy. — **Razem padło 101 zajęcy i 6 lisów.**

W sezonie jesiennym ubito na ciągach 2 dzikie gęsi i około 40 kaczek. Ze szkodników skrzydlatych 15 jastrzębi, 2 czaple, 1 puhacz i około 30 srok i 20 gawronów.

Celem podniesienia stanu zajęcy w rewirach polnych nie polowano.

Niebywałe mrozy przyczyniły się do zupełnego prawie wyniszczenia szeregiem lat przez Towarzystwo nianych kuropatw, które ściągały pod gospodarskie budynki i tam padały ofiarą sidlarzy.

Wobec tego zupełna ochrona kuropatw będzie nadal obowiązywać w rewirach Towarzystwa do czasu, aż ich rozmnożenie pozwoli na pewien odstrzał, na który członkowie Towarzystwa Łowieckiego z utęsknieniem wyczekują.

Na Walnem Zgromadzeniu członków Towarzystwa Łowieckiego w Tarnopolu, odbytem dnia 27 marca 1929, wybrano nowy Wydział, w skład którego weszli pp.: Józef Rajmund Szmidt, jako prezes, Dr. Stanisław Pohorecki jako zastępca prezesa, Profesor Ostapiuk jako sekretarz, porucznik Wylęgała jako zastępca sekretarza, Dyrektor Gumiński jako skarbnik i Kapitan Buntner jako zastępca skarbnika. — W skład Komisji rewizyjnej weszli pp.: Boloch Bazyli, Migden Gustaw i Schmidt Jan.

Wydział Towarzystwa Łowieckiego odbył w ubiegłym roku 5 posiedzeń, załatwiając wszystkie sprawy bieżące i przyjmując nowych członków, których obecnie liczy Towarzystwo Łowieckie w Tarnopolu 16-tu.

TREŚĆ NUMERU 9:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32